

Andrzej Grzegorzczak

Kapłan i błazen — w nowej rzeczywistości

Leszkowi, który całe życie wadzi się z Bogiem

Ryszard Wójcicki zapoczątkował dyskusję o stanie polskiej filozofii. Temat ten warto ciągnąć dalej. Oczywiście ocena stanu filozofii w Polsce (lub gdzie indziej) oraz sposób filozofowania zależy bardzo od dotychczasowej filozofii oceniającego lub też podejmującego dalsze filozofowanie. Mnie rzuca się w oczy przede wszystkim pewien moralny dylemat, od którego chciałbym zacząć rozważania.

Dwa przeciwstawne stanowiska

Każdy może próbować się ograniczyć do wąskiej sfery tej działalności, w której czuje się kompetentny, lub do sposobu działania, który przynosi mu najwięcej satysfakcji. Wydaje się jednak, że dziś jest coś takiego jak „ciśnienie spraw” międzyludzkich, co stawia nas dość prędko wobec fundamentalnych wyborów i pytań niemal ostatecznych. Oto na przykład: jeśli ktoś wyznaje pogląd, zgodnie z którym jest możliwe i pożądane, żeby ludzie na ziemi żyli w pokoju, oraz że stan taki najnaturalniej może być osiągnięty przez uzgadnianie poglądów, to wówczas jako dodatnie ocenia to wszystko, co do stanu tego przybliży, co prowadzi do szukania wspólnych podstaw moralności i wspólnych poglądów na najważniejsze sprawy. Jeśli zaś ideał taki komuś nie przyświeca, wówczas bardzo różne formy twórczości może on oceniać równie dodatnio.

Spostrzegam więc dwa główne przeciwstawne stanowiska zarówno w sposobie oceny, jak też i w sposobie uprawiania filozofii:

Albo dążymy do uzgodnienia poglądów i wówczas szukamy najlepszej metody filozoficznej analizy i do niej staramy się przekonać innych, albo na pojednaniu międzyludzkim nam nie zależy i wówczas zwykle cenimy dzisiaj oryginalność, paradoksalność i dowcip.

Uzgadnianie poglądów może być motywowane nie tylko względami praktycznymi, jak pokój na świecie, który sam w sobie jest oczywiście dostateczną motywacją do podjęcia wielu trudów. Także sama satysfakcja z porozumienia, poczucie ludzkiej wspólnoty i współuczestnictwa w tym samym losie, wiara w jakąś podstawową równość międzyludzką i partnerstwo bywają autentycznymi motywami dążenia do dogadania się z drugim człowiekiem.

Tu można od razu uczynić pewien krok w kierunku metafizyki i powiedzieć, że satysfakcja z porozumienia z bliźnim, czy wiara w jakąś równorzędność ludzkich istnień, to już pewna forma uznania Absolutu: absolutnego szacunku dla drugiego człowieka, szacunku, który wyklucza manipulację i wymaga cierpienia, niewygody pójścia z drugim aż do końca jakiejś niepewnej przygody intelektualnego kontaktu.

W ten sposób nawiązuję od razu do wspaniałego eseju Leszka Kołakowskiego z 1959 roku pt. *Kapłan i błazen*. Esej ten ma ważny podtytuł: *Rozważania o teologicznym dziedzictwie współczesnego myślenia*, autor tropi w nim bowiem przede wszystkim wiarę w absolut (pisany jednak konsekwentnie małą literą) pod różnymi jego postaciami. Później to samo jądro filozofii śledzi Kołakowski pod kryptonimem mitu w książce *Obecność mitu*. Poważny filozof jest zawsze tropicielem absolutu.

Ja swoją refleksję pragnę zorganizować wokół starego mitu, że historia zaczyna się od upadku aniołów, którzy nie chcieli służyć... Wywód mój streszcza się następująco:

Życie intelektualne nie jest niewinną zabawą. Jeśli ktoś nie chce być pokornym sługą prawd drobnych lub wielkich, to staje się prześmiewcą absolutu. A ponieważ pokusa budowania własnej wielkości nikogo nie omija, każdy, kto nie poprzestaje na przyczynkarstwie, wadzi się z Bogiem.

Myśliciel, który przestaje być pokornym sługą prawdy, swoje życie intelektualne przekształca w rodzaj wyczynowego sportu, w pogoń za własną wielkością. Mniej lub bardziej poddaje się wtedy komercjalizacji i przyczynia się do analogicznej demoralizacji innych.

Figury kapłana i błazna

Po powyższym wstępie mogłaby pojawić się tu pokusa użycia wprowadzonych przez Leszka Kołakowskiego dwóch literackich figur: kapłana i błazna. Przeczytajmy ich charakterystykę. „Kapłan jest strażnikiem absolutu i tym, który utrzymuje kult dla ostateczności i oczywistości uznanych i zawartych w tradycji. Błazen jest tym, który wprowadzie obraca się w dobrym towarzystwie, ale nie należy do niego i mówi mu impertynencje; tym, który podaje w wątpliwość wszystko, co uchodzi za oczywiste...”. Błazen uprawia filozofię, która „usiłuje się

obejść bez absolutów”. Tak opisuje te postaci Kołakowski i kończy esej deklaracją: „Opowiadamy się za filozofią błazna, a więc za postawą negatywnej czujności wobec absolutu jakiegokolwiek”.

Większa część eseju Leszka Kołakowskiego jest historyczną obserwacją wychwytującą istotę tematów poruszanych przez filozofów, jest to zarys rzetelnej naukowej roboty. Natomiast same figury kapłana i błazna nie są przedstawione jako empiryczna lub historyczna obserwacja rzeczywistości (czy socjologiczna, jak np. Floriana Znanieckiego rozważania o roli uczonych), ale raczej są konstrukcją literacką. Są to figury przerysowane. Píše on, że „zarówno kapłan, jak i błazen dokonują pewnego gwałtu na umysłach: kapłan obrozą katechizmu, błazen igłą szyderstwa”. Kapłan przedstawiony jest jako ten, który „doznał satysfakcji, którą daje dzieło ostateczne”, albowiem „ujął wyczerpująco całą wielość światów istniejących i światów możliwych w jednolitej kwalifikacji”. „Kapłaństwo jest przetrwaniem przeszłości w jej niezmiennym kształcie w dzisiejszym czasie, jej przerośnięciem poza siebie”. Filozofia błazna natomiast: „wystawia na pośmiewisko oczywistości zdrowego rozsądku i dopatruje się racji w absurdach”; „rządzi nią wszakże nie chęć przekory, ale nieufność do wszelkiego świata ustabilizowanego”. Błazen uprawia filozofię, która „usiłuje obejść się bez absolutów i bez perspektyw zakończenia”.

Wyjście poza naukową wstrzeźliwość, w kierunku uogólnionej literackiej anegdoty, jest w tych słowach widoczne. To, co jest dewiacją kapłaństwa lub błazenady, zostaje przypisane tym figurom jako ich immanentna właściwość. Przez ten literacki zabieg uzyskuje się efekt artystyczny, ale *zostaje zlekceważona*, przez odsunięcie na bok, ważna treść filozoficzna, można rzec *istota kondycji ludzkiej: możliwość przezwyciężenia negatywnych pokus i utrzymania życia w służbie wartości*. Kapłan prawdziwy wie, że dzieło nawracania się ludzi na absolut nie jest w tym świecie nigdy ostatecznie zakończone. Ten, kto ma poczucie, że „ujął wyczerpująco...”, grzeszy pychą. W ten sposób grzeszą oczywiście dziesiątki kapłanów rozmaitych wiar. Katechizm nie musi stać się obrozą, choć często bywa (ale np. ostatni *Katechizm Kościoła katolickiego* jest nią w znacznie mniejszym stopniu niż dawniejsze). Błazen szydząc np. z zakłamanej dobroci może równocześnie ukazywać dobroć prawdziwą. Utożsamiając pokusę skrajności z realną kondycją ludzką tym samym głosi się determinizm zła. Dla efektu literackiego wypaczona zostaje prawda o człowieku.

Wystawiając na pośmiewisko oczywistości zdrowego rozsądku zawsze opieramy się na innych oczywistościach. Jeśli podważamy wszystko, to nie osiągniemy żadnej konkluzji. Inteligentny błazen to wie i w momencie mówienia na serio powinien wyraźnie wyróżnić, które oczywistości podważa, a które uznaje. Wtedy niechybnie traci artystyczny efekt paradoksu, ale zyskuje na prawdzie. Ukazuje swoje kulisy. Przestaje na moment być profesjonalnym błaznem, a zaczyna być głosicielem prawdy. I chyba tak właśnie trzeba żyć, że błaznem należy być tylko do czasu. Kto zbyt pielęgnuje swoje błazeństwo, ten ulega pokusie Złego.

Dekonstrukcja dobra w postaci determinizmu zła jest częsta. Spotykamy ją na przykład w marksizmie i psychoanalizie. Stanowi powszechną pokusę pewnego siebie rozumu. Przede wszystkim zauważenie zła jest łatwiejsze od zauważenia dobra. Dobro tylko w kontraście ze złem czasem zadziwia. Natomiast gdy mniej więcej wszystko idzie dobrze, to skłonni jesteśmy uważać, że nic się nie dzieje, że wszystko jest na swoim miejscu, porządek świata po prostu trwa. Zło natomiast podważa ten porządek. Szukające łatwych sensacji *mass media* opowiadają głównie o złu tego świata. Dobra często nie zauważają. Zauważenie dobra wymaga sięgnięcia bardziej w głąb tego, co dostrzegalne. Analogiczna dewiacja myśli dokonuje się w nauce. Nauka też chce łatwego sukcesu. Dlatego chętnie wskazuje i potrafi prędzej wyśledzić determinizmy materii niż twórcze możliwości ducha. Psychoanaliza i marksizm były w swej metafizycznej warstwie uznaniem dewiacji za istotny determinizm rządzący rzeczywistością. (W latach 1949–1952 dyskutowałem z młodymi marksistami i argumentowałem, że przekonując innych o istnieniu niesprawiedliwości w świecie, powinni kapitalistów zachęcać, ażeby swoje majątki rozdawali ubogim. Odpowiadali, że kapaliści mają pozostać kapitalistami i jako tacy zostać zniszczeni.)

Ideal pokornego sługi prawdy

Otóż w przeciwieństwie do Leszka Kołakowskiego nie opowiadam się za filozofią błazna, ale też nie opowiadam się za postawą kapłana, tak jak została ona przez niego narysowana. Opowiadam się za pokornym sługą prawdy, który wierzy w Absolut, choć wie, że się on wymyka każdej naszej konstrukcji intelektualnej, wierzy, że w każdej sprawie jest najlepszy sposób postąpienia, choć możemy nie umieć go wykryć. Pokorny sługa prawdy, w przeciwieństwie do opisanego wyżej kapłana, zauważa, że dzieło myślowego odtwarzania świata nigdy nie jest zakończone, choć pewne jego fragmenty mogą być zadowalające, ale zawsze ukazują nowe perspektywy. Każda nasza satysfakcja jest więc zawsze częściowa, ale każde rzetelne badanie coś nam odkrywa, a więc mówiąc alegorycznie: ukazuje część prawdy absolutnej czy jakieś jej oblicze. Poznajemy coraz lepiej świat i samych siebie, ale przecież nie ogarniamy wszystkiego.

Filozofowanie jest pracą badawczą, której powołaniem jest tworzenie systemu światopoglądowego, czyli bardzo ogólnego obrazu świata. Logika mówi, że nie może być tak, że równie dobre sposoby na życie są ze sobą sprzeczne. Trzeba więc analizować wypowiedzi poszczególnych filozofów, własne i cudze, precyzować je, obalać lub uzasadniać. Prawda podstawowa jest jedna i w większości spraw jest jedna najlepsza metoda dojścia do niej. Tej metody trzeba szukać, trzeba się jej uczyć i ją rozwijać zbiorowym wysiłkiem. Jeśli metod równorzędnych jest kilka, to trzeba rozwijać kilka metod równocześnie. Trzeba też samemu pisać tak, żeby innym umożliwiać dyskusję, dalszą pracę nad tematem, do-

precyzowywanie, czyli kontynuowanie pracy w poszukiwaniu prawdy, tak wyrażonej, jak najlepiej można to uczynić w danej fazie rozwoju ludzkiej kultury teoretycznej, a szczególnie w danej fazie rozwoju jej języka, zwłaszcza ogólnych pojęć.

Autor odpowiedzialny powinien więc się sam ustawiać do ewentualnego bicia, jasno wyrażać swoje tezy, wyodrębniać je, a nawet numerować, żeby całą ich ewentualną głupotę zdolny krytyk mógł precyzyjnie wskazać i samemu pójść dalej, czyli lepiej sformułować następne hipotezy na ten sam temat. Pokorny sługa prawdy naraża się, ale gdy jest bity, to się cieszy, bo jego krytyk w istotnej sprawie przyznaje mu rację, bo poprawiając jego tezę uznaje to, co w pracy poznawczej najważniejsze, że powoli coraz lepiej poznajemy rzeczywistość.

Pokorny sługa prawdy może nawet sprawiać wrażenie pyszałka, bo tworzy system. Ale wiadomo, że tylko w systemie każda prawda uzyskuje swoje właściwe miejsce. Konstrukcja intelektualna systemowa jest koniecznością. Myśli zawsze są powiązane. Psychologowie, a nawet językoznawcy to dobrze dziś wiedzą. Trzeba więc po prostu to powiązanie robić dobrze. Porządkując uwydatnia więc on wszystkie konsekwencje swojego systemu, a przez to oczywiście ułatwia pracę swojemu krytykowi. (Prace naukowe powinniśmy może, poza wszystkim, pisać w sposób nudny i premiować nudziarstwo innych, żeby w nauce zostawali tylko tacy, którzy poprzez zasłonę nudy potrafią dostrzec głębię problemu. A całe efekciarstwo może by wtedy z nauki zniknęło.)

Na drodze naukowego opisu świata i filozoficznej wizji opartej na nauce uzyskało się w Europie już wiele. Wcale nie jest tak, jak mówią niektórzy, że nie ma postępu. Postęp w filozofii jest. Grecy starożytni nie wymyślili wszystkiego. Na przykład analiza ludzkich stanów mentalnych jest dziś lepsza niż za czasów starożytnych. Logika również. Każdy pogląd, który u Greków nam się podoba, dzisiaj formułujemy lepiej, przy pomocy sprawniejszej aparatury pojęciowej i potrafimy lepiej uzasadnić. Przede wszystkim widzimy dziś lepiej historyczną kondycję ludzką i całą kondycję świata od milionów lat. Poza tym w ramach kultury europejskiej udoskonaliliśmy metody badania naukowego, których rozpowszechnienie na świecie stwarza nową jakość życia intelektualnego. Daje również ważną szansę na uzgodnienie wielu kwestii mających aspekt etyczny. Zaniedbanie ich może stanowić zarzewie wojny, a praca nad nimi — drogę do pokoju. W tym kierunku należy podążać nadal.

Nie jest tak, jak na przykład ostatnio pisze Marian Przełęcki (*Poza granicami nauki*, Biblioteka Myśli Semiotycznej, Warszawa 1996) w nawiązaniu do Leszka Kołakowskiego, że filozofia ma swój teren oderwany całkowicie od nauki. Przeciwnie: fakty naukowe są ważnymi przesłankami filozoficznej refleksji. Np. opisują właśnie kondycję ludzką i pozwalają na jej filozoficzne ujęcie. Z kolei filozofia dostarcza analizy pojęć ogólnych i ogólnych logiczno-ontologicznych struktur, bez których najprostszy opis naukowy nie daje się wypowiedzieć.

Obecna sytuacja

Istnieje wiele przyczyn, dla których ten program nie jest popularny. Powody po temu są ogólne, jak i nasze regionalne, polskie.

Do ogólnych należy przede wszystkim wielki tłok na ziemi, a stąd też tłok w intelektualnych środowiskach. Warto przede wszystkim zdać sobie sprawę z różnicy warunków życia między środowiskiem intelektualnym dzisiejszym a dawniejszym. Do połowy XX wieku zajęcia intelektualne były elitarne. Większość społeczeństwa we wszystkich krajach utrzymywała się z pracy fizycznej. Praca ta wymagała zawsze twórczego myślenia, ale związanego ściśle z przekształcaniem łatwo dostępnej fizycznej rzeczywistości. Natomiast rzeczywistość duchową kształtowała elita intelektualna kraju. W elicie tej istniały oczywiście konkurencje, ale spora część tej elity mogła żyć i żyła po prostu z zasobów odziedziczonych lub z dochodów nie związanych z intelektualną twórczością. Księża i zakonnicy, główni intelektualści w wiekach średnich, mieli w dawnych czasach i często też mają dzisiaj zapewnione utrzymanie za swoje funkcje duszpasterskie. Przeważnie nie musieli być opłacani za twórczość intelektualną. Wielu świeckich uczonych pochodziło ongiś z klas posiadających i zasoby rodzinne stanowiły dla nich poważne wsparcie materialne. Jedną z najpoważniejszych przemian XX wieku jest natomiast znaczne wyczerpywanie się zasobów materialnych łatwo dostępnych dla każdej jednostki, jak również zasobów rodzinnych przekazywanych jednostce przez poprzednie pokolenia. Intelektualista końca XX wieku w znacznie większym stopniu czuje się zmuszony do dbania o swoje zarobki niż intelektualista poprzednich epok. Stąd nic dziwnego, że dba, żeby to, w czym się specjalizuje, przynosiło mu dochód.

Rozwój oświaty spowodował przy tym poważny dopływ setek ludzi do zawodów intelektualnych. Wzrosła więc znacznie liczba ludzi pragnących utrzymać się z wykonywania intelektualnych profesji. Wykonywanie intelektualnego zawodu przestało być sprawą specjalnego, rzadkiego powołania, a stało się kwestią życiowego wyboru, wyboru w zakresie sposobu walki o byt w warunkach malejących łatwo dostępnych zasobów, wzrastających potrzeb i wzrastającej konkurencji na każde intratniejsze stanowisko.

Do tego dodaje się rozwój umiejętności manipulowania własną myślą. Coraz lepiej wyczuwamy mianowicie konsekwencje, do których prowadzą używane przez nas struktury myślowe. I w praktyce, i w teorii coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, że sama struktura myśli, czyli podstawowe nawet konstrukcje intelektualne nie są dane wyłącznie przez naturę (myśli lub rzeczy), ale są tworem umysłu (często tendencyjnym) i przedmiotem wyboru woli, który to wybór (lub tendencja) mogą być motywowane bardzo różnymi pragnieniami jednostek. Stąd podstawowe kierunki rozwoju myślenia jednostki lub grupy zależą od typu motywacji przeżywanej przez jednostkę lub grupę. Jeśli jednostka mocno przeżywa jakiś rodzaj swojego życiowego interesu, wówczas świadomie lub nieświadomie konstruuje

oraz wybiera takie narzędzia myślowe, które interesowi temu sprzyjają. Korupcja życia intelektualnego bywa głęboko zakorzeniona w dewiacji ludzkich pragnień. Statystycznie egoiści przeważają nad altruistami. Kierowanie swoją pracą intelektualną pod kątem osiągnięcia życiowego sukcesu odbija się więc w formułowaniu poglądów rozwijanych przez danego filozofa.

Nowe mechanizmy selekcji

W tej nowej sytuacji okazuje się społecznie bardzo ważne to, jakie w danej chwili i w danej dziedzinie istnieją mechanizmy selekcji, czyli takie układy warunków, które dają większe szanse jednym, a mniejsze innym w zajęciu określonej pozycji społecznie ważnej, w szczególności zajęcia określonego intelektualnego stanowiska pracy.

W różnych kręgach życia społecznego spotyka się różne mechanizmy selekcji. W dziedzinie wyrobów użytkowych od zawsze istniał rynek jako ważny i w zasadzie społecznie korzystny mechanizm selekcji. Producent gorszego towaru zostawał wyeliminowany z rynku. W instytucjach kościelnych od dawna była tradycja podejmowania wszelkich decyzji, także i personalnych, przez odpowiedzialne jednostki, które były zobowiązane moralnie do obiektywnego rozpatrywania sprawy i odpowiednich rozsądnych konsultacji. Mimo że zobowiązania moralne łatwo bywają zaniedbywane, nie jest wykluczone, że ten mechanizm jest najsprawniejszy tam, gdzie nie można liczyć na zdrowy gust odbiorców danych produktów lub usług. Do niedawna mechanizm taki obowiązywał w świecie nauki. Od połowy XX wieku następuje niestety w tej dziedzinie znaczny rozwój innych mechanizmów selekcji, w szczególności mechanizmów demokratycznych, a wraz z nimi również wzrost znaczenia czynników oddziałujących na decyzje ciał kolektywnych. Dość prawdopodobną wydaje się teza, że:

Mechanizm autorytarnego sterowania nauką przez elity starych profesorów był lepszy niż obecne mechanizmy komercyjne, demokratyczne oraz mafijne.

W stosunku do mechanizmów demokratycznych decydowania kolektywnego można wysunąć następujący zarzut. Kolektywne decyzje kierowane są kolektywnie przeżywanymi wartościami i emocjami. Większość wybiera najkorzystniej ze względu na aktualnie przeżywane przez tę większość wartości, natomiast nie wybiera najtrafniej ze względu na wartości cenne dla szerszej zbiorowości lub nawet cenne na dalszą metę dla tej samej większości. Jeśli grono demokratyczne składa się z ludzi odczuwających swój bezpośredni życiowy interes jako wartość podstawową, to decyzja większości będzie odpowiadać aktualnym życiowym interesom większości. Natomiast może być nietrafna ze względu na dalekosiężne potrzeby kraju, potrzeby świata lub rozwój ludzkiej wiedzy. Mechanizm autorytarnego podejmowania decyzji poprzedzonej konsultacjami może być przeto spraw-

niejszy ze względu na wyżej wymienione okoliczności niż mechanizm demokratyczny. W każdym razie łatwo sobie wyobrazić sytuację, w której konsultacje dostatecznie zapoznają autorytet z potrzebami ludzi, natomiast gdy opinia większości rozmija się z dalekosiężnym celem społecznym, to wówczas znacznie łatwiej jest światłej mniejszości lub nawet jednostce przekonać jednego autorytarnego decydenta, nie zagrożonego na swoim stanowisku, niż przekonać demokratyczną większość, która się wzajemnie umacnia w swoim ograniczonym widzeniu sprawy, rozwija mechanizmy obronne i zamyka się na argumentację przeciwną, czując w tym zagrożenie dla swoich interesów. W kierowaniu życiem intelektualnym dużą rolę gra też doświadczenie, czyli mechanizm uczenia się. Doświadczenie gromadzą jednostki. Społeczeństwa uczą się znacznie wolniej. Wydaje się, że demokratyczne ciało nie podlega uczeniu się w tak silnym stopniu jak jednostka. W każdym razie obserwacja pokazuje, że najświatlejsze rady naukowe instytutów, podobnie jak i wysokie sejmy krajów, podejmują decyzje korzystne przede wszystkim dla aktualnych interesów życiowych większości członków danej rady czy dla większości parlamentarzysty, a nie dla rozwoju nauki lub potrzeb kraju.

Ludzie powiązani wspólnym interesem popierają się wzajemnie. Tworzą strukturę solidarnościową. Może ona być spontaniczna lub zorganizowana (z reguły mafijnie). Struktura solidarnościowa często przestaje być funkcjonalna ze względu na generalny czy nadrzędny cel. Grupa popiera swoich nie dlatego, że są lepsi na określone stanowiska, ale dlatego, że są swoimi, czyli że dalej będą popierać swoich. Układy mafijne zapewniają grupie pozycję monopolistyczną.

Popularyzacja wiedzy i wzrost liczby ludzi posiadających wyższe wykształcenie powoduje powstanie intelektualnego forum. Przez forum rozumiem miejsce kontaktów międzyludzkich, na którym dokonuje się wymiana informacji, poglądów i ocen, merytoryczna dyskusja i kształtowanie się opinii publicznej. Na forum intelektualnym pojawia się też handel intelektualnymi wytworami, który można nazwać rynkiem.

Na intelektualnym forum tworzą się mody, propaganda i reklama pewnych kierunków oraz presja, na przykład na uczelnie, żeby zapraszały modnych wykładowców. Na intelektualnym forum pojawia się też spontaniczna intelektualna konkurencja. Autorzy konkurują ze sobą w tym sensie, że starają się o uznanie tej samej grupy odbiorców. Uznanie uzyskują autorzy trafiający w potrzeby szerszych grup ludzkich, jak np. grup narodowych, zbuntowanej młodzieży, politycznej opozycji lub rewizjonizmu (politycznego, kulturowego, etycznego czy religijnego). Szersze grupy ludzkie, jeśli wyrażają jakieś zbiorowe odczucia, to żywią zwykle potrzeby zbiorowego przeżywania jakichś wartości, a więc potrzeby wartości wspólnych, wspólnego autorytetu, wodza, idola, wspólnego uczestnictwa w czymś wielkim, choćby niezrozumiałym, ale też potrzebę przeżycia wspólnego protestu, własnej wyższości i potrzebę zabawy. Mało kto cieszy się samym poznaniem.

W świecie nauki kiedyś panował autorytet rozumu. Barbara Skarga nawet narzekała na „despotyzm rozumu”. Ale ja wołałbym despotyzm rozumu od despotyzmu rynku.

Początki filozofii wygłupu

Zjawisko dewiacji w realizacji wartości nie omija sfery intelektu. Niektórzy ludzie, czasem całe grupy, więcej wysiłku intelektualnego zużywają na budowanie własnego poczucia wyższości niż na efektywną społeczną działalność, którą podejmują. Ciekawym połączeniem zabawy z budowaniem poczucia własnej wyższości bywa ironia. Na spotkaniach młodzieżowych grup politycznych (tzw. „komandosów”) we Francji lub w Polsce roku 1968 więcej było intelektualnego wysiłku idącego w kierunku ironii i dowcipu poniżającego przeciwnika niż wysiłku idącego w kierunku planowania konkretnych działań lub tworzenia zwartej ideologicznej podstawy własnego ruchu.

Dowcip to moment zaskoczenia zakończony pewnym przyjemnym rozładowaniem powstałego napięcia. Często bywa tworzony dla poczucia własnej wyższości (choćby chwilowej i choćby tylko względem słuchaczy). O dowcipie pisano wiele, mniej o wygłupie. Dowcip i wygłup są szczególnymi rodzajami komunikacji. W różnych kulturach występują w różnym stopniu i w różnej formie. Przede wszystkim w różnych kulturach są przyjęte rozmaite sposoby mieszania ich z mową poważną lub oddzielania od niej. Np. liturgii nie miesza się z dowcipem. Do kazań dowcip wchodzi powoli. Jan Paweł II w znacznym stopniu wprowadził dowcip do wystąpień papieskich, ale dowcip raczej oparty na przeżyciu własnej małości niż własnej ważności. Chrystus czy Gandhi nie tworzyli dowcipów i nie zalecają mówienia dowcipów. („Niech mowa wasza będzie: Tak — tak, nie — nie. Co nadto jest od złego jest”). Ironia i kpina to często zorganizowana akcja budowania swojego, często też zbiorowego, poczucia wyższości. Mam wrażenie, że w kulturze anglosaskiej mieszanie mowy naukowej z dowcipną jest znacznie mniej dopuszczalne niż w kulturach polskiej lub francuskiej.

W Polsce wytworzyły się specjalne warunki sprzyjające kultowi dowcipu, a nawet wygłupu, również na terenie filozofii. Stosunkowo wysoki poziom życia intelektualnego na początku XX wieku przy pewnej szlacheckiej niefrasobliwości spowodował sytuację, w której można było mówić na tematy filozoficzne nie całkiem na serio. Czynił to na przykład, jak się zdaje, Witkacy. Mowa nie na serio występowała przede wszystkim w literaturze i w poezji (Gombrowicz, Gałczyński). Miała swoje miejsce również w plastyce. Młodszy od wymienionych malarz Tadeusz Brzozowski pisał w latach sześćdziesiątych: „Jeśli dziś ktoś chce coś powiedzieć naprawdę serio, to przegrywa. Dzisiaj nikt nie wierzy tego typu działaniom. Trzeba zawsze mrugnąć okiem...”. W okresie PRL-u władza wymagała szczególnego rodzaju powagi socjalistycznego zaangażowania. W roku 1953 wykladałem elementy matematyki dla filozofów. Na zebraniu studenckim zo-

stałem skrytykowany, że w moich wykładach brak „socjalistycznego patosu”. Krzysztof Pomian, który był jednym ze słuchaczy i obowiązkowym uczestnikiem forum krytykującego poszczególnych wykładowców, zaryzykował wówczas tezę, niesłychanie śmiała na owe czasy, że może w matematyce patosu socjalistycznego po prostu nie ma i być nie musi. Powojenna sytuacja polityczna sprzyjała więc również w jakimś stopniu mówieniu nie na serio. Mówienie z przymrużeniem oka dobre było w okresie komunizmu. Wtedy nawet wielu przedstawicieli władzy ze względów populistycznych starało się mówić z przymrużeniem oka. Styl Sławomira Mrożka (dowcip surrealistyczny) święcił wówczas tryumfy. Uważam natomiast, że dzisiaj styl ten się przejadł i nastały czasy, kiedy trzeba wrócić do mowy poważnej.

Może młodszym czytelnikom warto przypomnieć, że władza polityczna PRL od początku utrudniała wszelką krytykę swojej linii, całego systemu i całego bloku. Wprowadziła dokładną cenzurę publikacji. Linia partii i cały system polityczny opierał się przy tym na filozofii marksistowskiej. Filozofowie tego kierunku zostali uprzywilejowani. Inni stopniowo odsuwani i dyskryminowani. Były momenty poważnych zagrożeń dla wszystkich inaczej myślących. Od 1956 roku znikło zagrożenie życia lub poważnej represji materialnej, które przedtem mogło wydawać się zagrożeniem całkiem realnym, ponieważ było rzeczywistością w sąsiednim państwie, które służyło za wzór do naśladowania. Niemniej jednak nawet po roku 1956 jedynie osoby prawomyślne z punktu widzenia władzy lub skrzętnie ukrywające swój krytycyzm mogły liczyć na szereg ułatwień w intelektualnej karierze, takich jak przede wszystkim wyjazdy zagraniczne. W tej sytuacji wiele opinii najbezpieczniej było wypowiadać w sposób zawołowany. Jednym ze sposobów mowy ezopowej stała się mowa błazna.

W tej sytuacji Leszek Kołakowski w 1959 roku nie mógł opowiedzieć się za mową kapłana. Esej jego (wspomniany we wstępie) sugerował natomiast, jakoby intelektualista miał do wyboru jedynie te dwa modele swojej społecznej roli. Esej ten trafił w zapotrzebowanie intelektualnego środowiska i zaważył na stylu myślenia wielu. Dziś po latach propozycję Leszka Kołakowskiego odczytuje jednak jako opis upraszczający. Złe skutki tego typu uproszczeń, zwłaszcza dla obecnej sytuacji intelektualnej kraju, czuję potrzebę podkreślić.

Filozofia ścisła i filozofia literacka

Teraz pragnę zaproponować odróżnienie dwóch sposobów filozofowania, z których każdy ma swoje ograniczenia i narażony jest na swoiste zagrożenia. Filozofowaniem ścisłym skłonny byłbym nazywać taki sposób filozoficznej narracji, któremu przyświeca ideał, aby użycie każdego słowa opierało się na jakiejś precyzyjnie określonej definicji lub równie precyzyjnej teorii. Natomiast filozofowaniem literackim nazwałbym taki sposób narracji, przy którym narrator troszczy się nie tyle o formalną treść pojęć i zwrotów swojego języka, co o artystyczny efekt narracji i artystyczny efekt całej przekazywanej wizji.

Zagrożeniem dla filozofii ścisłej może być bezduszna formalizacja, czyli zwracanie większej uwagi na pewną formalną poprawność językową niż na treść wypowiedzi, a w końcu zajmowanie się tylko związkami między pojęciami, bez przekazywania jakiegokolwiek głębszej wizji rzeczywistości. Filozofia przestaje wówczas pełnić swoją podstawową rolę, którą jest służba budowie poglądu na świat. Staje się hermetyczną dyscypliną będącą swoistym hobby w ramach naukowego myślenia. Jeśli filozofia ścisła ma nie być zabawą intelektualną, musi ścisłość zaprzęgnąć w służbę budowy koherentnej i potrzebnej życiowo wizji rzeczywistości. Taką rolę pełniła na przykład w swoim czasie filozofia ścisła Arystotelesa, jak również scholastyka, aczkolwiek dziś sposób filozoficznej narracji tych systemów nie odpowiada naszym obecnym standardom ścisłości.

Można wskazać też na związek pozytywny ujęcia literackiego z ujęciem ścisłym. Mianowicie dla wyjaśnienia swoich podstawowych pojęć filozof ścisły musi sięgnąć do potocznych intuicji. Musi się więc posłużyć też skojarzeniami, które można nazwać literackimi. Ale uzyskane w ten sposób pojęcia wyprecyzowuje następnie przy użyciu całego arsenału logicznych i empiryczno-naukowych metod i twierdzenia swoje formułuje już w uzyskanym w ten sposób ścisłym języku.

Czcza retoryka pojęć bywa oczywiście też jednym z zagrożeń filozofii literackiej. Nie jest to retoryka formalnych wzorów, ale raczej retoryka efektownych chwytów artystycznych. Przydarzyć się może ona każdemu. Każdy może się pomylić i chwilowe swoje skojarzenie artystyczne wziąć za istotne odkrycie poznawcze. Po czym kontynuując swoją grę wyobraźni rozwinie całą teorię czy retorykę wokół pierwotnego skojarzenia. W dawniejszych pracach własnych sam spostrzegam takie literackie przegadanie. Powyżej dokonałem analizy tekstu Leszka Kołakowskiego, wskazując na literacki charakter jego figur kapłana i błazna i na zagrożenia dla filozoficznej myśli, jakie to literackie przedstawienie problemu z sobą niesie. Mogą oczywiście istnieć duże różnice w ocenie doniosłości poznawczej pewnych ogólnych spostrzeżeń. Sam mam skłonność do filozofii literackiej zaliczyć na przykład niektóre rozważania Barbary Skargi dotyczące pojęcia identyczności i różnicy oraz Jana Szczepańskiego dotyczące indywidualności ludzkiej. (Mam na myśli książki: B. Skarga, *Tożsamość i różnica. Eseje metafizyczne*, Znak 1997 oraz J. Szczepański, *O indywidualności*, IWZZ 1988.) Tematy refleksji tych dwojga autorów są z resztą zbliżone. Indywidualne jest to, co różni jednostkę od innych. Różnice między poszczególnymi jednostkami lub gatunkami są oczywiście bardzo istotne. Żaba różni się od słonia, a dobry baca każdą swoją owcę rozpoznaje po jej indywidualnej twarzy. Szkopuł natomiast w tym, że same ogólne pojęcia różnicy oraz identyczności (czyli braku różnic) są bardzo ubogie. Są to pojęcia ogólnologiczne o bardzo skąpej własnej treści poznawczej, chociaż niezastąpione jako proste narzędzia służące do opisu realnego świata. Ze względu na ich użyteczność chciałoby się powiedzieć o nich coś więcej w sposób ogólny. Szuka się więc rozmaitych sformułowań i wpada w literackie pułapki.

Czcza retoryka formalnych wzorów znacznie łatwiej obnaża swoją pustkę niż retoryka literacka, tworząca znacznie więcej pozorów ukrytego bogactwa i głębi. Stąd filozofia literacka ma większe szanse na zdobycie rynku niż filozofia ścisła. Ta szansa demoralizuje twórcę.

Modnym w filozofii literackiej zwykle nie jest rozwiązanie najprostsze. Najprostsze byłoby banalne. W naszej kulturze moda musi mieć element zagadkowości. W dziedzinie intelektu modne może być coś, co robi wrażenie, że jest równocześnie wielkie, ale zakryte. Modnym może być autor, który jest w jakimś stopniu niezrozumiały. Wtedy pobudza do odkrywania tajemnic swojej myśli. Autor, który wszystko wykląda jasno, nie daje odbiorcy szansy samoakceptacji innej niż poznawcza. Taki autor jest dobrym popularyzatorem, ale nie zdobędzie (przynajmniej za życia) miru wielkiego twórcy. (Potem może zostać odkryty na nowo.)

Autor niejasny pobudza snobizm odbiorcy. Odbiorca może uzyskać poczucie przechodzenia przez barierę wtajemniczenia. Odbiorca może powiedzieć o sobie, że jest jednym z nielicznych, którzy zrozumieli coś, co jest zakryte dla profanów, (ciemnych, nieinteligentnych lub pozbawionych intuicji). Element zagadkowości wprowadzają powiedzenia oryginalne, zestawienia paradoksalne, skojarzenia niespodziewane, często nowotwory językowe, konstrukcje mętne, ale zahaczające o sprawy wielkie.

Czasem niejasność myśli jest pokryta pewną jasnością mnemotechnicznych schematów, które działają na pewien typ wyobraźni. Na tej zasadzie uzyskują poparcie niektórzy autorzy używający wykresów lub schematów rysunkowych. Ciekawym przykładem są tu kontynuatorzy polscy myśli M. Hoene-Wrońskiego. Podobne skojarzenia wykorzystują propagatorzy znaków ikonicznych.

Uznanie uzyskuje też autor wylansowany już wcześniej, czyli uznany za autorytet. Oczywiście jest to uznanie w środowisku ludzi skłonnych do poddawania się autorytetom. Najogólniej można powiedzieć, że w dziedzinie satysfakcji intelektualnych nie ma naturalnego kryterium pożywności intelektualnej strawy. Najdziwniejszy autor ma szansę wmówić w odbiorcę, że smaczki przez niego produkowane są najcenniejsze, jeśli trafi na osobę pozbawioną należytej dyscypliny myślowej. Dyscyplinę taką zapewnia jedynie odpowiednie intelektualne środowisko.

Mam wrażenie, że w obecnej sytuacji ludzkości istnieje konieczność lansowania mocnej logicznej dyscypliny myślowej w każdej dziedzinie. Coraz lepiej zdajemy sobie bowiem sprawę, że konflikty międzyludzkie są w ogromnej mierze konfliktami poznawczymi. Dlatego jednolita rozumowa postawa poznawcza staje się koniecznością. W filozofii dyscyplinę potrzebną przybliży bardziej filozofia ścisła aniżeli filozofia literacka. Tam, gdzie jeździ dużo samochodów, konieczne jest ścisłe przestrzeganie przepisów ruchu, a tam, gdzie spotyka się dużo myśli, konieczne są reguły logiki. Musimy dążyć do posiadania przynajmniej pewnych

zrębów kryterium poprawności myślowej. Inaczej poddajemy się prawom rynku. Rynek zależy w zbyt wielkiej mierze od reklamy, a reklama od pieniędzy. W ten sposób na rynku może zacząć dominować światopogląd sekt zbrodniczych lub demoralizujących. Tą samą drogą może on opanować uniwersytety. Musimy więc starać się umieć odróżniać dobrą robotę intelektualną od roboty kiepskiej, niesprawnej lub maniakalnej, albo tendencyjnie naciąganej w celu urobienia mózgów dla jakichś pozaintelektualnych celów. Filozofia literacka liczy na rynek. Rynek szerszy jednak nie najlepsze gusta.

Kapłaństwo i błazeństwo Leszka Kołakowskiego

Jak twierdzi historyk Jacques Le Goff, biografie konkretnych ludzi są elementem uniwersalizującym historię. Pisanie monografii o Leszku Kołakowskim należy rozpocząć jak najprędzej. Jest on przede wszystkim pisarzem o bardzo mocnym i całościowym sposobie wyrazu. W każdej fazie swojego życia, przez każde niemal zdanie odzwierciedla całość swojej osobowości. Stąd też myśl jego skacze od kapłaństwa do błazeństwa, ale czasem jest też pokorną służką prawdy.

Integralność jego wyrazu odzwierciedla się w jego stylu myśli; przede wszystkim przez używanie pojęć oraz całych konstrukcji bardzo mocno nacechowanych wartościująco i emocjonalnie. Każdy ciąg jego myśli zmierza do wyrażenia oceny, w której autor się jakby ostatecznie wyżywa. Taki był zawsze, najpierw wtedy, gdy był (jak wiadomo, co najmniej do roku 1955) kapłanem marksistowskiego absolutu. W roku owym wyszła bowiem jego książka pt. *Szkice o filozofii katolickiej*, w której są przedruki z wcześniejszych artykułów, ale skoro dopuszczone do druku przez autora, można uważać, że zawierają poglądy przez niego jeszcze wówczas aprobowane klasycznie marksistowskie. M.in. jest tam szkic pt. *Neotomizm w walce z nauką i prawami człowieka*, w którym (na s. 15) czytamy: „Tzw. personalizm chrześcijański stanowi w swej właściwej treści zbiór oszukiwanych obłudnych haseł, które pod pozorami dbałości o «godność ludzką» i «prawa człowieka» mają za zadanie usprawiedliwiać teoretycznie wszelkie praktyki polityczne imperializmu i wysługującego się mu Watykanu oraz tworzyć podstawy dla najbardziej reakcyjnych doktryn politycznych.”

Zdanie powyższe mogłoby aspirować do ówczesnego katechizmu komunisty. Dzisiaj możemy tekst taki czytać z przymrużeniem oka. W owym czasie jednak tego typu wypowiedzi czołowych filozofów marksistowskich nie były zabawne. Stanowiły dla ówczesnej władzy politycznej w Polsce teoretyczne uzasadnienie represyjnej polityki względem ludzi wierzących i Kościoła. Dla wszystkich śledzących twórczość Leszka Kołakowskiego jest dziś całkiem jasne, że tę swoją działalność uznał on potem za złą moralnie i społecznie szkodliwą. Dla czytelników jego książki o marksizmie powinno być nawet oczywiste, że swoje własne i swoich kolegów uprawianie marksizmu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych uważał potem za stanowiące w swej właściwej treści zbiór oszukiwanych, obłud-

nych haseł, które pod pozorami dbałości o filozoficzną obiektywność miały za zadanie usprawiedliwiać teoretycznie wszelkie praktyki polityczne komunistycznych partii. (Gdy pisał historię marksizmu, był też chwilami kapłanem, tylko czegoś przeciwnego.)

Natomiast w roku 1965 w artykule w „Argumentach” pt. *Jezus Chrystus prorok i reformator* Leszek Kołakowski z aprobatą streszcza istotne tezy Chrystusa (a więc też personalizmu chrześcijańskiego) w pięciu punktach: „1. Zniesienie prawa na rzecz miłości. 2. Perspektywa zniesienia przemocy w stosunkach między ludźmi. 3. Że nie samym chlebem żyje człowiek. 4. Zniesienie idei ludu wybranego. 5. Organiczna nędza doczesności.” I w zakończeniu podsumowuje: „...osoba i nauki Jezusa Chrystusa nie mogą zostać usunięte z naszej kultury, ani unieważnione, jeśli kultura ta ma istnieć i tworzyć się nadal”. Można więc niewątpliwie uważać, że w ciągu dziesięciolecia 1955–1965 przeszedł ewolucję treści swoich poglądów. W artykule o Chrystusie nie wydaje mi się kapłanem żadnego wyznania, ale nie jest też błaznem. Jest wtedy właśnie w moim rozumieniu pokornym sługą prawdy. Był nim oczywiście również w wielu poważnych wystąpieniach publicznych, i wtedy, gdy jeżdżąc tramwajem po Warszawie sam zbierał podpisy pod protestami intelektualistów, i w wielu momentach później. Natomiast pisząc w tym samym czasie *Rozmowy z diabłem*, na pewno nie przestał uprawiać filozofii błazna.

Prekursor postmodernizmu

Analizując psychologicznie sytuację, w której powstał tekst Leszka o błaznie, można z tekstu tego odczytać zachętę następującą:

Intelektualista, który chce zrobić społeczną karierę, ma przed sobą dwie społeczne intelektualne role (obie wymagające jednak aktorskiego kunsztu), rolę kapłana lub rolę błazna. Rola błazna jest bezpieczniejsza, a może być równie efektywna społecznie.

Wydaje mi się, że pierwsza część tej opinii potwierdza się w praktyce. Błazni robią prędką karierę. Widać to po karierze postmodernistycznych filozofów francuskich i amerykańskich. Natomiast co do tezy o pozytywnych skutkach roli błazna mam dziś poważne wątpliwości.

Tekst *Kapłan i błazen* był prekursorski w stosunku do obecnej fazy filozoficznego postmodernizmu. Podawał uzasadnienie filozoficznej błazenady, które ważne jest w postmodernizmie nadal. Kołakowski może więc uchodzić za jednego z pierwszych ideologów intelektualnego postmodernizmu. Sztuka błazna może bowiem uchodzić za pewną odmianę sztuki paradoksu, zagadki, zaskoczenia, a więc sztuki operowania efektami, które można nazwać atrybutami komercyjnymi pracy intelektualnej. Postmodernizm filozoficzny odczytuję właśnie jako

przede wszystkim ideologię operowania komercyjnymi efektami pracy intelektualnej, która pozostaje jako jedyna podstawa filozofii, gdy straci się wiarę w prawdę, jako wyznacznik intelektualnych wysiłków.

Oczywiście Kołakowski nie daje odpowiedzi na pytanie, jak ma się intelektualnie zachowywać ktoś, komu zależy na innych celach niż kariera społeczna. Domyślnym jest, że główny sprawdzian tej kariery stanowi rozgłos, który Adam Podgórecki nazywa społeczną widocznością, a co może być chyba tłumaczone na angielski jako *publicity*.

Przewagi i apanaże wygłupu

W podtekście rozważań Kołakowskiego o błaznie można by się domyślać dobrze zakonspirowanej przed cenzurą tezy, że w totalitaryzmie więcej swobody oddziaływania zyskuje opozycyjny błazen niż opozycyjny kapłan. Kapłana nieprawomyślnego łatwo może władza ukarać. Poważna krytyka zawsze daje się podciągnąć pod odstępstwo od obowiązującej doktryny. Natomiast karanie błazna jest dla władzy zajęciem bardzo niewdzięcznym. Władza karząca błazna sama może się zbłaźnić. Oczywiście zależy dużo od ogólnej kultury społecznego obcowania. Iwan Groźny prawdopodobnie błaznowi uciąłby własnoręcznie język, gdyby wyczuł to, co można było wyczuć w facecjach staropolskiej błazenady. W Polsce facecje błaznów, książąt mopanku i szlacheckiej braci przyjęło się podziwiać. Był w tym wielki urok naszej szlacheckiej i kmieciej kultury. Dobrze z tym bywa i bywało z wyjątkiem momentów, niestety częstych, gdy facecja zastępuje refleksję i dowcip staje się ważniejszy od szukania prawdy.

Wygłup jest bezpieczny też ze względu na krytycznych kolegów, bo z wygłupem nie wypada dyskutować. Wygłup można podziwiać lub ocenić jako mierny, ale nie wchodzi się z nim w dialog. Wypowiedź efekciarska nie jest wypowiedzią dialogową. Jest popisem indywidualności. Polemizujący z błazenadą naraża się na śmieszność. Co najmniej zasługuje na opinię, że nie zna się na dowcipie, nie ma poczucia humoru. Chce powagi tam, gdzie inni, mądrzejsi, wiedzą, że należy się bawić. Naraża się na zarzut, że stroi się na kapłana.

Wygłup jest bezpieczny, bo pozwala też ukryć to i owo, zostawiając wiele domyślności inteligentnych lub wtajemniczonych. Jest też bezpieczny dla organizatorów imprez intelektualnych w naszym kraju, bo wygłupu każdy chętnie posłucha. Powagi, mówimy sobie, mamy dosyć na co dzień. Przeciętny Polak poważnie stoi w ogonku na pocztce patrząc uważnie, czy ktoś aby go nie wyprzedza nielegalnie i nie dodaje mu jednej minuty stania dłużej. Takie rzeczy śledzimy ze śmiertelną powagą, natomiast w sprawach światopoglądowych, jako mniej ważnych, możemy sobie pozwolić na drobny luksus dowcipu.

Całą tę naukę stojącą za esejem Leszka dobrze pojął ksiądz Józef Tischner zarówno w stosunku do (*toutes proportions gardées*) intelektualnego totalitaryzmu Kościoła katolickiego, jak i w stosunku do krytycyzmu kolegów. Na wygłupy nie

ma anatem. Poważne myślenie nie tylko naraża na krytykę, ale, co nie daj Boże, skłania innych do poważnego myślenia. Wyglup usypia rozum. Poważna mowa może podważyć wiarę. Kościół i wiele redakcji pism katolickich, jak i wielu organizatorów intelektualnych imprez, woli oglądać wyglupy niż słuchać ludzi poważnie mówiących. Błędy lub wątpliwości poważne należałoby wyjaśniać, trzeba by się męczyć, dyskutować, argumentować, porządkować myśli. Jeśli coś jest powiedziane dowcipnie, aluzyjnie, można to zostawić bez komentarza, nie trzeba wyjaśniać i porządkować. Nawet lepiej tego nie robić, bo styl stanie się ciężki i dowcip gdzieś zaginie.

Intelektualna odpowiedzialność a postmodernistyczne efekciarstwo

Wyglup jest jedną z postaci efekciarstwa w filozofii. Jest może wdzięczniejszy i mniej szkodliwy od efekciarstwa tragicznego, które polega na wpędzaniu odbiorcy w sytuację intelektualnie nie do zniesienia i bez wyjścia.

Sformułowanie niepoważne, podobnie jak i sformułowanie paradoksalne pozwala ukryć niewiedzę, bo jeśli rzecz nie musi być dopowiedziana do końca, to nie wiadomo, czy autor pominął coś celowo, dla lepszego efektu, czy też nie wie o rzeczy ważnej, której nie uwzględnił. Styl efekciarski ukrywa też zwykle brak głębszej analizy i logicznej konsekwencji. Ukrywa to oczywiście nie tylko przed czytelnikiem, ale przed samym autorem, który zauroczony własnym dowcipem, paradoksalnym sformułowaniem lub niespodziewanym odkryciem zatrzymuje się na rozwijaniu tych efektów ubocznych, a nie bada prawdy podstawowej, nie wnika dalej w istotę zjawiska.

Efekiarskim sposobom oddziaływania na odbiorcę przeciwstawia się myślenie odpowiedzialne za prawdę tworzonego tekstu. (Dlatego też postmodernizm zwalcza przede wszystkim samą sensowność używania pojęcia prawdy lub pojęcia niezależnej od nas, czyli obiektywnej, rzeczywistości.)

Myśl wypowiedziana poważnie odsłania, jak to pisałem na początku, wszystkie swoje braki. Takie braki oczywiście zawsze są. Dzieło intelektualne nigdy nie jest doskonałe. Jeśli nie nasuwa wątpliwości, to można śmiało podejrzewać, że kryje jakieś ograniczenie. Myśl poważna ukazuje zawsze dalsze perspektywy. Chociażby przez samo dokładne sformułowanie twierdzenia już ukazujemy zwykle niedostateczność naszej ludzkiej percepcji rzeczywistości. Twierdzenia empiryczne nieco ogólniejsze zawsze są obarczone jakimś stopniem niepewności. Kto cofa się przed przypuszczeniami, musi stale milczeć. Autor poważny nie jest w stanie ogarnąć sprawy do końca. Ważne elementy zjawiska gdzieś mu umykają. Sam pokazuje, że analiza jego jest niezbyt dokładna, że są jeszcze inne ważne aspekty sprawy, które warto by zbadać, że nie wiadomo, czy trafił w najistotniejsze, ale już musiał się zatrzymać, bo nie można pracy przeciągać zbyt długo, bo się jej nigdy nie skończy. Myśl poważna budzi u czytelnika te wszystkie wątpliwości. Zamiast zachwyty dla autora budzi u odbiorcy myślenie o przedmiocie rozważań.

Odsłonięcie braków utworu oczywiście poniża twórcę. Autor przedstawia się jako jeden z wielu upartych poszukiwaczy prawdy, któremu czasem coś zaświta, ale który tworzy tylko jakieś półprodukty, pomocne dla innych do tworzenia następnych półproduktów. Autor przestaje być wielkim. Inni są w stanie pójść dalej. Autor im to swoją pracą ułatwia. Mowa poważna jest pomocna, jest otwarta na intelektualną współpracę. Autor poważny deklaruje, że gotów jest z każdym porozmawiać, od każdego czegoś się nauczyć. Praca intelektualna staje się wtedy twórczością zbiorową. Jedni doskonałą myśl drugich. Każdy uczy się od każdego. Razem budują coraz lepsze poznanie rzeczywistości.

Twórca nastawiony na swoją oryginalną wirtuozerię innych nie wychowuje do współpracy. Zdolnych odbiorców ewentualnie pobudza jedynie do znalezienia ich własnego stylu, w którym mogliby sami zrobić furorę na intelektualnym rynku. Cały nastrój postmoderny wychowuje do konkurencji, a nie do współpracy. Tymczasem w dziedzinie poznania potrzebna jest współpraca, a nie konkurencja.

Pisma ogólnokulturalne niestety wolą wirtuozerię słowa niż poważne poszukiwanie. Łatwiej też znajdują czytelników dla niefrasobliwej rozrywki niż dla poważnej intelektualnej roboty. Polskie pisma wyznaniowe wolą autorów wypowiadających się w konwencji literackiej, do której trudniej przyczepić się autorytetom kościelnym, niż autorów przestrzegających reguł ścisłości. Ścisłość naraża na poważne starcie. Jednakże w ten sposób nie podnoszą poziomu myślenia swych odbiorców. Nie szukając najlepszego sformułowania, zatracamy wspólnotę języka.

Z esejem *Kapłan i błazen* trudno było dyskutować w czasach wszechwładzy cenzury. Szczere mówienie o społeczno-politycznym podtekście utworu było wtedy niemożliwe. Zresztą do tej dyskusji sam musiałem też dorosnąć. Kapłan w wyobrażeniu Leszka Kołakowskiego stroi się w liturgiczne szaty i wypożycza autorytet z góry. Manipuluje autorytetem. Jest efekciarzem, podobnie jak i błazen. Błazen sprytnie podlizuje się wszystkim i wszystkim nabiera. Manipuluje dowcipem. Obaj coś grają. Obaj zyskują poklask tłumów. Ich utwory dobrze się sprzedają na postmodernistycznym rynku. Oczywiście każdego z innych powodów. Przeciwnieństwem ich obu, realizatorem poważnego myślenia, które powyżej przeciwstawiliśmy efekciarstwu, i lekarzem na demoralizację powodowaną przez obu, może byłby ludowy kaznodzieja, pokorny głosiciel prawd naiwnych, uparty prorok transcendentnych odczuć, wyrzucany przez kapłanów z miasta do miasta za niestosowanie się do uświęconych formułek i wyśmiewany przez błaznów za swoją naiwność, wiarę w ludzką dobrą wolę i wagę rozumowej argumentacji. A właściwym jego losem winna być śmierć głodowa, bo nikt go nie uważa za potrzebnego. Wszystkim raczej przeszkadza w ziemskich interesach. Takim był również Leszek Kołakowski, kiedy pisał artykuł o Chrystusie i organizował społeczne protesty. Wtedy zaczęło się już wypędzanie go, zakończone emigracją. Na szczęście okazał się gdzieś potrzebny. I takimi pokornymi głosicielami prawd naiwnych są nawet niektórzy księża chrześcijańskiej religii. Niestychanie dziwnym trafem taki został nawet papieżem 19 lat temu. (W swoim przemówieniu

w Krakowie z okazji rocznicy Uniwersytetu Jagiellońskiego Papież opisał powołanie uczonego jako *postugę myślenia*. Użył sformułowania podobnego do omawianego w tym tekście.)